

Aleksandr Overchuk

Skazony apokryf

Dlaczego podobne książki są prezentowane zimną jesienią, kiedy niepewność faluje ulicami? Wtedy, w październiku, może w listopadzie 1995 roku, na próbę do Teatru Polskiego we Lwowie została przyniesiona kasetka z nagraniem *Ballady o Schulzu* Jacka Kleyffa. Teatr został zaproszony do udziału w promocji *Sklepów cynamonowych* i *Sanatorium pod klepsydrą* właśnie przetłumaczonych na ukraiński przez Andrija Szkrabjuka. Proszono, by prezentację okrasić wspomnianą *Balladą*. Zofia Iwanowa¹ postanowiła spisać nuty z nagrania i podjęła się akompaniamentu, a śpiewać miał Walery Bortiakow.² Uroczystość była planowana w Pałacu Potockich, którego los właśnie się ważył, bo opuścił go sowiecki Urząd Stanu Cywilnego, a Magistrat na razie nie miał pomysłu na jego zagospodarowanie. Jeszcze tekst ukraiński w całości nie był znany. Jeszcze przebywały pod warstwą wapna malowidła Brunona Schulza w zagraconej spiżarni willi Landaua, wierząc w niezniszczalność piękna. Benjamin Geissler, ich odkrywca, dopiero docierał do pomysłu podróży do Drohobycza. Zagracona spiżarnia, jak każda prawdziwa porcjunkula, jeszcze kilka lat chroniona niewiedzą, promieniowała przecuciem katastrofy: kto pęknie pierwszy - willa, czy ona? A może zamieszka w niej Harry Potter? Spiżarnia... Bezbronny nowotwór sztuki niestosowanej, bez żadnej wizji przyszłości, która dopiero zaczynała się układać. W tym wszystkim tkwiła jednak nadzieja. Z rozpalonymi policzkami i wilgotnymi spojrzeniami szliśmy w dół ulicą Kopernika do pałacu Potockich.

¹ Zofia Iwanowa - muzykolog Filharmonii Lwowskiej, dziennikarka, aktorka Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Współzałożycielka Sceny-Studium "Galiciana" - polsko-ukraińskiej inicjatywy teatralnej we Lwowie.

² Walery Bortiakow - wybitny artysta lwowski (17.07.1941-14.05.2007). Scenograf reżyser, aktor Polskiego Ludowego Teatru we Lwowie. Od 1985 roku jego Kierownik Artystyczny.

W sali z resztkami pozłoty na gruzliczych tynkach, w której niegdyś brałem ślub, rozgościła się powielona lustrami ściennymi garść wybranych: ciepły wierzchołek przemarzłych elit Miasta. Niewłączone kaloryfery oraz odsłonięte ramiona kobiet podniecały obecnych. Mężczyźni ufnie rozpinali marynarki i popuszczali krawaty. Od czasu do czasu w głębi luster, nie wiadomo skąd i dokąd przepływały białe koszule kelnerów. Zdradliwy oddźwięk trącanych sztućców kierował uwagę na białe, zamknięte drzwi sali niebieskiej.

Moderatorka o szlachetnej szczupłej twarzy, wzbogaconej odrobiną dawnego cierpienia, monitorowała przestrzeń. Czegoś jeszcze brakowało, więc wracaliśmy do tematów przegadanych, ożywiając przeszłość. Walery przy fortepianie uśmiechał się do wszystkich zbyt szeroko – źle ukrywając tremę. Zosia nie dotykała klawiszy, ukrywała melodie w palcach, wspierając spojrzeniem Walerego, by zbyt nie rozpraszał. Winowajca całego przedsięwzięcia, tłumacz Andrij Szkrabjuk, od czasu do czasu wznosił głowę ku twarzy pani moderatorki, po czym powracał w głąb siebie.

- Jeszcze chwila... Cierpliwości, - mówiły jej oczy, hamując rodzące się w bezdźwięcznej sarabandzie kelnerów zwątpienie sali. Aż wreszcie, gdzieś z głębi luster, dotarła do nas słuszna decyzja o rozpoczęciu. Prowadząca po raz ostatni obejrzała salę. Właśnie chwyciła w usta łyk powietrza, z wnętrza którego rzeźbi się pierwsze najważniejsze słowo, gdy do cichego szelestu widowni, jak nóż w masło, wszedł ze swoją kapelą Alfred Szraj³. Pod sztandarem rasowej siwizny, niczym przepełniony kielich, niósł ze sobą skrzypce.

- Nareszcie! Nareszcie! W gronie ponad stu państw, już od dawna posiadających tłumaczenia dzieł Brunona Schulza, objawiła się Ukraina!!! – moderatorka wygłosiła swe wymarzone zdanie w milczeniu sali. Być może za sprawą nieświadomie dotkniętej struny czy klawisza, wyczuwalna była obecność kapeli Alfreda Szrajera. Jak wszyscy muzycy na świecie, także nasi czuwalni nad czystością przygody, pilnowali harmonii, by nie przesaczył się do niej fałsz. Chwytając spojrzenie Andrija Szkrabjuka, pani moderatorka oddała mu głos. Jeszcze wołały do siebie akapity i wątpliwe miejsca, o których wiedział

³ Alfred Szraj³, polski muzyk, dyrygent, ostatni przedstawiciel przedwojennego Drohobycza, uczeń Brunona Schulza.

tylko on. Jeszcze wydawało mu się, że można się cofnąć, lecz stos książek wystawionych na stole, zuchwale twierdził, że jest już za późno. Po chwili ciszy Andrij rzekł:

„Pamiętam dobrze swoje letnie wakacje u babci na wsi. Gdy byłem dzieckiem, pozwalano mi na wszystko, poza jednym:

- Baw się, gdzie chcesz, tylko nie wychodź za chatę! – mówiła mi babcia.

- Czemu? – pytałem ją.

- Nie wolno. Tam o północy Żydzi się obracają!” (Wyraz idiomatyczny, oznaczający nieco mistyczny stosunek do Żydów we wsi ukraińskiej)

W tych kilku zdaniach mieściły się wszystkie oczekiwania sali. Były w nich wszystkie treści przemilczane, zadawnione, wyjawione w taki sposób, że zmuszały do uśmiechu i wylewnej miłości bliźniego. O czym mówiono dalej, nie pamiętam i myślę, że nie miało to już żadnego znaczenia, ponieważ krótka opowieść tłumacza podarowała nam klucz do życia w miłości. Jasne, że taki stan spraw nie mógł być trwały. Przypadkowe dotknięcia strun i klawiszy kapeli, mżawką dźwięków rychło przyćmiły to nowe doświadczenie, sprowadziły je do wymiarów bezcennej pozycji muzealnej. Wyczerpany Andrij zamilkł. W odnowionym szeleście sali do głosu doszły skrzypce. Wprowadzając pomiędzy lustra autentyczne wibracje przedwojennego radia, Alfred Szrajjer zgrabnie dołączył przebieg wydarzeń do kapryśnej rozmowy harmonii i fortepianu, w której nieuchronnie kruszyła się wartość imprezy. Nie chodziło tu o wartość z drugiej ręki, broń Boże! Wciąż jaśniało nam światło tłumaczenia bez dwóch zdań! Mimo wszystko nie było ono jednak tak ostre, jak światło Autentyku, przebijało się przez dźwięki kapeli, złagodzone, raczej księżycowe. Poza tym wyraźnie ujawniała się sztucznie powielona lustrami ilość osób obecnych na sali. Do zabawnej pogadanki instrumentalnej wszedł bowiem muzealny aksamit barytonu Alfreda Szrajjera:

“Teraz nie pora szukać wymówek

Fakt, że skończyło się... [...] To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy”... .

Naturalnie, Zosia gościnnie zwolniła miejsce przy fortepianie dla pianisty kapeli. Obok z szerokim uśmiechem słał ku niej porozumiewawcze spojrzenia Walery. Rosnąca mięsistość wydarzenia zarazem przerażała prostotą i kabaretową płytkością. Tylko

autentyczność Alfreda Szrajera usprawiedliwiała regresję. Kelnerzy już bez wyrzutów sumienia przecinali swymi pochodami przestrzeń liturgii słowa. Wystawione stopy świeżego druku tłumaczenia przypominały o czystości początku, lecz nawet myśl o cofnięciu się wydawała się dziwaczną. W aksamit przedwojennych wibracji wsączyły się zapachy nadchodzącej liturgii ciała. Wreszcie klamka białych drzwi do sali niebieskiej została wciśnięta. Pani moderatorka zdążyła jeszcze ogłosić konieczność wysłuchania Ballady o Schulzu więc udało się zaśpiewać na tyłach odchodzącej przygody. Zosia akompaniowała dzielnie, odwrócona plecami do wydarzenia. Walery zamknął oczy i odfrunął do ostatnich słów *Ballady*: „No i już, no i już, jak w balecie najlepszym na świecie tańczy Schulz”.

Gorące danie, wystawione w kilku opcjach, mieściło się blisko okien. Wina białe i czerwone stały nietknięte, a nieopodal zmieścił się stół deserowy z pomarańczami i bananami. To on był naszym celem. Dyskretnie przysuwaliśmy się z Zosią ku niemu, zresztą nie pierwszy raz, bo od dawna na wszystkich uroczystościach pełniliśmy szlachetną misję dokarmiaczy naszych dzieci. Teraz trudno to sobie wyobrazić, ale w tamtym czasie nie tylko w naszym mieście, ale i w całym państwie banany, jak również rozkosz używania papieru toaletowego były znane jedynie wybranym. Te odblaski przyszłości, do której zmierzaliśmy całym sercem, znaleźliśmy z okazji wyjazdów do Polski. Na pozór skromna damska torebka Zosi potrafiła zmieścić tyle bananów i pomarańczy, byśmy mogli nasycić się uśmiechem naszych córeczek.

Wysoko nad stołami stał telewizor (nie mylić z monitorem) z podłączonym magnetowidem VHS, odtwarzającym film o Drohobyczu. Niewidoczny mówca czytał fragmenty tekstów Pisarza. Kiedy wkładałem do torebki pomarańcze, usłyszałem: „Tam gdzie mapa kraju staje się już bardzo południowa, płowa od słońca,

pociemniała i spalona od pogód lata, jak gruszka dojrzała — tam leży ona, jak kot w słońcu — ta wybrana kraina, ta prowincja osobliwa, to miasto jedyne na świecie”⁴.

Nie pamiętam, w jaki sposób nauczyłem się na pamięć około dwunastu pierwszych minut tekstu. To było dwanaście minut o ojcu dorożkarzu i koniku, ze *Sklepów cynamonowych*. W sposób świadomy, chyba nigdy bym się nie odważył wybierać z Tekstu coś mającego sens tylko dla mnie. To było ponad świadome. Zdania i akapity raczej same reagowały na moją interwencję, lśniły bardziej niż inne, rozpalając moja wyobraźnię. Kiedy ukończyłem fragment scenariusza - okazało się, że umiem go na pamięć. Był rok 1999, Lwów przerażał swoją obojętnością wobec tekstu i jego Autora. Wszystkie próby odsłonięcia tematu przypominały raczej krzyk wołającego na puszczy. Garść fanów wypełniała salę na dwieście osób. Pytanie - dla kogo to robię - nie miało sensu.

Nie był to pierwszy tekst sceniczny w mojej pamięci, tyle że wcześniejsze gnieździły się we mnie jakoś osobno, każdy w swoim miejscu. Ten, wszedł zaś do każdej komórki, rozpuścił się w niej, uszlachetniając nowym nieznanym dotąd rytmem. Chodziło przecież właśnie o rytm, który wyprowadza z zadawnionego cienia coś, przypominającego sumienie. Niedługo przed tym, w wieku dojrzałym, ochrzciłem się. Tremę pierwszej spowiedzi, miałem już za sobą, i dobrze wiedziałem, że ziemia się nie rozstąpi, a konfesjonał wkrótce znów zostanie za rogiem. Wczytywałem się uważnie w akapity Księgi. Podarowano mi nowiutką: błyszczącą czarną, ze sklejonymi kartkami, wszystko świadczyło że dotarłem do niej pierwszy. Była to Biblia. Teraz po latach wiem, że jeszcze do niej powrócę, ale wtedy było, jak było. Wśród kłopotu grzmotów Synaju,

⁴ Biblioteka Narodowa Bruno Schulz, *Opowiadania Wybór esejów i listów*, opr. J. Jarzębski Wydanie drugie przejrzone i uzupełnione Wrocław-Warszawa-Kraków Zakład Narodowy imienia Ossolińskich-Wydawnictwo 1998. s 341. Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty dzieł Schulza pochodzą w eseju z tego wydania.

błyskawic i ognia Sodomy dotarło do mnie jednak to zdanie, krótka, zwięzła pretensja dziecka, które zrozumiało, że jest samo:

„-Ty wiesz, ojciec -...- ty wiesz dobrze, nie ukrywaj się, nie wykręcaj! Ta książka cię zdradziła. Dlaczego dajesz mi ten skażony apokryf, tysięczną kopię, nieudolny falsyfikat? Gdzie podziałeś Księgę? Ojciec odwrócił oczy” (s. 117)... jak zwykle, zresztą.

Biblioteka mego ojca, skażona marksistowskim duchem na naszej stronie zelaznej kurtyny, mieściła w sobie jednak pozycje ważne i piękne. Obok starej anatomii dla artysty, z finezyjnie wymalowanymi włóknami mięśni znajdowały się dwa tomy *Historii sztuki* Karola Woermanna, *Życiorysy* Giorgia Vasariego i wiele innych dzieł. Do zakurzonych stelaży dolatywały niekiedy jaskółki świeże, pachnące drukarnią offsetow, od czasu do czasu wkładało się pomiędzy nie kontrabandę literacką aż z samej Polski. Lecz w całej ojcowskiej intrydze bibliotecznej stanowczo i namolnie kłuł w oczy wielki czerwony twardy album fotograficzny z czarnym napisem *1941-1945*. Znałem go na pamięć i zanim zdążyłem przełożyć go na kolejne miejsce, otwierałem zawsze jedną, jedyną ważną dla mnie stronę ze zdjęciem W. Judina, zrobionym w roku 1945 w czasie zwolnienia z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Na zdjęciu więzień siedział w kucki przy ogromnej kupie okularów i dobierał dla siebie odpowiednie. Właściciele okularów nie powrócili z komory gazowej. Bałem się układać w słowa pytanie zawsze nasuwające się w takich momentach. Nieulożone i bez odpowiedzi, wypchnięte na margines pamięci, powracało zazwyczaj w momentach najmniej odpowiednich, jak igła w poduszce. Gdy wreszcie spotkałem pewnego leciwego zakonnika, zapytałem go, na czym polega sens niewinnych ofiar? Staruszek, nie zastanawiając się długo, rzekł, że po wojnie bardzo dużo niewinnie zabitych ludzi zaliczono do grona świętych i wyniesiono na ołtarze. Odwróciłem oczy. Minęło jeszcze kilka lat, kiedy spotkałem się z ojcem już jako Józef w *Sanatorium pod klepsydrą*. Nie mówiłem nic, tylko wchłaniałem czysty, wielokrotnie wydestylowany bimber prawdy. Ojciec mówił:

“- Ucieszyłem się serdecznie, Józefie, żeś przyjechał, co za niespodzianka. Czuje się tu tak samotny... Ale muszę ci oznajmić nowinę... – Nie śmieję się, wynająłem tu lokal na sklep i gratuluje sobie tego pomysłu. ... Nie masz pojęcia jak trudno było o kredyt. ... Przypominasz lokal optyka na rynku? Otóż zaraz obok jest nasz sklep. ... Trudno się pomylić” (s. 269-270).

No właśnie, lokal optyka!!! Przestrzeń wielkiego eksperymentu, w którym zabójstwo nie jest grzechem. Od tamtej pory zacząłem gromadzić rekwizyty – podstawowe komórki przestrzeni dramatu – okulary. Z całego Lwowa przynoszono do mnie narzędzia minionych światoołgądów po babciach dziadkach, stryjach i nie wiadomo kim jeszcze. Każda para okularów posiadała swój niepowtarzalny zapach. Niektóre już nie trzymały się kupy, musiałem ostrożnie wyjmować z nich szkiełka. Niektóre nadawały się tylko na jedno oko. Natomiast soczewki zgubione bez swojej pary, wkładałem do torebki foliowej jak zapytanie jak wielka tajemnicę – być może nawet tajemnicę wiary. Pracownia moja zamieniła się na laboratorium bez określonego celu badań. Nieodwracalnie kształtowała się w ten sposób przestrzeń Liturgii Ciała, w której rozproszone szkiełka zanurzały się w tekst, by po spalających próbach przeistoczyć się w niejadalne komunikanty.

Po premierze spektaklu, granego w końcu maja 2000 roku we Lwowie, zauważyliśmy wszyscy, że ciężąca nad tajemnicą Schulza kurtyna zaczynała się poruszać. Na jeszcze ukrytych deskach tematu niekontrolowane strumienie, powodowały wibracje śpiącej powierzchni. „[...] i wiedziałem, że przyjdzie chwila, kiedy napięcie tajemnicy dojdzie do zenitu i wtedy wezbrane niebo kurtyny pęknie naprawdę, uniesie się i ukaże rzeczy niesłychane i olśniewające” (s.63). Nigdy dotąd nie wierzyłem w coś, tak mało konkretnego.

Tymczasem życie powoli przybierało kształty przypominające formy naszych marzeń, wysnutych w podróżach do Polski po banany i papier toaletowy. Sale na spektaklach nie były pustawe. Przedstawienia nieśmiało skrapiały miasto tak, że i przejść trudno, i parasol

szkoda otwierać. Jak zwykle znów zbliżaliśmy się ku jesieni. Benjamin Geissler układał plan podróży do Drohobycza bez żadnej nadziei na sukces. Willa Landaua tkwiła w pierwszych miesiącach wieku XX pokornie, bez żadnych emocji na starej austriackiej fasadzie.

Jesień 2000 roku, jak każdy finał pełen tajemnic, była naprawdę ostatnią. Jedyne zima potrafiła odnaleźć się w odchodzącym tysiącleciu swoim początkiem i następne dwa miesiące umiejscowiła w pierwszych porankach kolejnego wieku. Styczeń minął bez przygód, odeszły w pokoju wszystkie święta, kiedy wreszcie nabrzmiałe niebo kurtyny pękło. 9 lutego 2001 roku światem wstrząsnęła wiadomość o znalezieniu malowideł Brunona Schulza w spiżarni willi Landaua w Drohobyczu. Skala wydarzenia nie mieściła się w świadomości nawet najbardziej zaangażowanych wielbicieli Schulza. Korekcja rzeczywistości była tak wszechstronna, że pokój opuścił świat na długo, a wszystkie gwiazdy padły w hołdzie dla zagraconej spiżarki – tak, jak tego wymagał protokół. Ze wszystkich stron świata ruszyły fale pielgrzymów, by złożyć swój pokłon i dotknąć świadectwa przeistoczenia mitu w rzeczywistość. Na schodach piętrach, parkietach willi zajaśniały „odpadłe i mokre od śniegu gwiazdy” (s. 72) tworząc w mieście komórkę niebiańskiego światła. Wszystko na chwilę przybrało kształt bezbronnej szczeroci i nieszkodliwej prostoty, gdyż nikt nie był w stanie powiedzieć, co z tym dalej robić? Miasto nie czuło się gospodarzem wydarzenia, jak gdyby chodziło o nieślubną ciążę, której lepiej nie nagłaśniać. Do takiej właśnie przestrzeni wydeptali ścieżki pierwsi wierni, jako do prawdziwej szopki, do sanktuarium, porcjunkuli skupienia i oczyszczenia. Droga moja do Drohobycza wyprostowała się, teraz należało tylko odprawiać spektakle i czuwać, by nie przegapić dotknięcia palca i „żeby zacząć się pakować”⁵.

Właśnie to dotknięcie, a raczej dotykane objawienie w willi Landaua zaczynało być coraz bardziej natarczywe. Trudno niezmiennie stać w milczeniu przed malowidłem nagiej prawdy, bezbronnej i potężnej. Prawdy, która tak naprawdę w tym momencie do nikogo nie należała. Spiżarka, jak kusząca sarna, uruchamiała falę niekontrolowanych

⁵ „Ballada o Schulzu” Jacek Kleyff.

popędów. Dziennikarze, konserwatorzy, historycy i schulzologowie drżącą stopą pokonywali schody willi, i – by nie zemdleć – wyskakiwali natychmiast po łyk świeżego powietrza, kierując do nieba nieme zapytanie. Wśród tych grup, jak to zwykle bywa, pojawiali się także inni subiekci, szklanym wzrokiem, mierzyli wysokość ścian, ostrość zakrętu schodów i szerokość drzwi. Właściwie nigdy nie stali w kolejce do spiżarki, tak samo nieprzewidywalnie znikali, pozostawiając po sobie zapach zakurzonego wosku. Poruszali się bez tremy, na luzie, widać było że są tu raczej służbowo, tak jakby razem z bagażem pozostawili za rogiem serce. Z pogardą przyrosłą do koszuli starali się nikogo nie dotykać. Pojawiali się o zmierzchu ze specjalnymi walizkami i wnosili je do środka willi.

Był kwiecień. Komunikacja z właścicielami piętra ze spiżarką została ustalona. Wolne datki pielgrzymów coraz częściej nazywano ofiarą. Interwencje ekip telewizyjnych przypominały wizytacje odpustowe lub konsylium lekarskie, zawsze z nadzieją i bez skutku. Odczuwaliśmy wszyscy, że nie stać nas na kształtowanie jasnej wizji przyszłości spiżarki. Była sierotą. Któraś z Ojczyzn musiała udowodnić na cały świat prawo matki. Opcja Ojczyzny Słowa dopiero powstała po wszystkim... A czas upływał nieuchronnie. Obydwa Święta Wielkanocne wybrzmiały należycie, w tym roku umieszczone w jednym dniu 15 kwietnia, i tylko spiżarka, jakby na lodzie, zawieszona w powietrzu, nie zaszeregowana, czekała na spełnienie losu...

Któregoś dnia zastaliśmy ją pustą. Właściwie nie do końca pustą, a jakby obgryzioną. Jakby ktoś wyjadł najpiękniejsze fragmenty malowideł, pozostawiając niedojedzone resztki ulicy. „[...]muszę się przewyciężyć, ażeby opowiedzieć zgodnie z prawdą niepojęty fakt, przed którego rzeczywistością wzdraga się cała moja istota. ... pytałem z rozpaczą matki: jak mogłaś to uczynić! ... Opamiętaliśmy się ..., gdy wniesiono mego ojca na półmisku. Leżał wielki i spuchnięty wskutek ugotowania...” (s. 333). Na ścianach świeciły się dziury po wyrzniętym tynku w miejscach kluczowych rozwiązań kompozycyjnych. Widać było, że pracowała doświadczona ekipa rzeźników dobrze osadzonych w temacie, wspaniale zorientowanych, gdzie jest najdroższy fragment krowy świni, czy... Schulza.

Blżej jesieni stało się jasne, że musimy albo zapomnieć o dokonanym wandalizmie, albo nauczyć się żyć z nim jak z wrzątkiem w dłoniach. Skandal pragnął bezradnie uchwycić znikający cień sprawiedliwości. Wyprawa do Drohobycza została wymazana z pomysłów. Nigdy tam nie pojedę. Żadna Ojczyzna tego nie jest warta. Do Diabła!!! Beze mnie. Wiezorami było ciemno zimno i wszystkie powroty do domu były przyśpieszane pomysłem, by szybciej schować głowę pod poduszkę. Wydarzenia lata stały w gardle wraz z rozdeptaną godnością. Po którymś spektaklu wychodząc z teatru, omijałem publiczność w garderobie. Wtedy zauważyłem dwie jasne postaci, być może nawet zbyt jasne jak na tą porę roku. Widać było, że są małżeństwem. Patrzyli, zarazem idąc do mnie.

- Dobry wieczór. Przyjechaliśmy z Drohobycza, chcieliśmy zaprosić pana ze spektaklem. Organizujemy seminarium poświęcone pamięci Brunona Schulza. Czy pan by się zgodził? Być może pod patronatem Konsula Generalnego RP Krzysztofa Sawickiego. Jeśli się zgodzi. Jutro spotykamy się z nim. Nazywam się Igor, oto moja małżonka Wira Meniok. Ihor palił. Nie znaliśmy się wcześniej. Ich bezbronna szczerłość zamykała jednak nasuwające się pytania. Widać było, że postawili wszystko na jedną kartę. Igor przypalał kolejnego papierosa. Wira ostrożnie milczała.

Kiedy spotkaliśmy się u Krzysztofa Sawickiego w Konsulacie RP, Wira wyjęła z teczkiszkie Programu Seminarium pod tytułem „Komu należy Schulz?”. Krzysztof ciepło uśmiechnął się i delikatnie poprawił: „Do kogo należy Schulz?”. Jakże bliska mi była ta edukacja językowa w biegu i bez matury, kiedy prawo do tańca ustala się nie prawem, tylko bezczelną interwencją nazywaną miłością. Kiedy rodzą się nieznanne słowa, nieuczestane akapity z natarczywością plemników torpedujące brzegi kultury umiłowanej.... Uzgodniliśmy datę 15 października, więc przywieziono mnie o dzień wcześniej dla przygotowania sceny i przeprowadzenia próby. Nikt specjalnie nie starał się o to, żeby przyjechać do Drohobycza w dniu święta Pokrowy Bogurodzicy. Znaleźliśmy się w tłumie ulicy z rekwizytami do spektaklu w rękach. Szliśmy pieszo, dźwigając nasz bagaż. Ihor prowadził, ja podążałem za

nim. Maszynę do szycia, stary Singer, nieśliśmy po lewej, a z prawej strony trzymaliśmy rurkę aluminiową z zawieszonymi na niej okularami – improwizowaną wystawę optyka na rynku. Szliśmy ulicami ramię w ramię z tłumem, dopóki to było możliwe. Cyganeria naszej grupy skupiała na sobie szczególną uwagę idących obok. Staraliśmy się uśmiechać, łagodząc narastające nieporozumienie uświadamiając sobie, że jesteśmy tu jednak obcymi. Najtrudniej było hamować ataki dziecięcych stad na płachtę okularów, ponieważ każde dziecko pragnęło odłamać dla siebie na pamiątkę szkiełko. Podnosiliśmy ręce coraz wyżej, a dolną część szklanej płachty broniłem odstrasżającymi machnięciami nogi, przez co poruszałem się dziwnym krokiem, budząc złośliwy śmiech. Wypatrywałem ponad tłumem cerkwi, ale jej nie było. Tylko czerwona cegła kościoła majaczyła w perspektywach mijanych zaułków. Poczułem się jak przemytnik w komorze celnej duchowych wartości które, owszem uznaje, ale nie tak hucznie i broń Boże publicznie.

Raptem wszystko stanęło w miejscu. Okazało się że celem marszu był schowany w gęstwinie miejskiej zieleni placyk z pomnikiem owiniętym białym prześcieradłem, oczekujący na odsłonięcie. Dotarliśmy do miejsca razem z ostatnim okrzykiem mówcy:

- Pamięć o naszym bohaterze od dziś na zawsze zamieszka w naszym mieście!!! Nie widać było napisu na pomniku i tego, kim był jego bohater. Widziałem tylko to, że stał w rozterce ze złożonymi na piersi rękoma. Margines na którym się znajdowaliśmy, pozwolił opuścić uroczystość po angielsku, niemal niezauważalnie. Ukryliśmy się w nadchodzącym zmierzchu.

Następnego dnia zobaczyłem miejsce inscenizacji spektaklu. Była nim szkoła średnia ze sceną na piętrze. Przed rozpoczęciem, kiedy zostałem wreszcie sam, wyszedłem na korytarz, by znaleźć toaletę. Stare austriackie rozgałęzienia piętra wciągały w głąb półmroku. Była to przestrzeń, w której jeszcze tkwiły wibracje nieusłyszanego “dzwonka, oznajmiającego koniec nauki”(s. 322). Po lewej stronie pani sprzątaczką z szmatą na końcu drążka namaszczała podłogę, zbliżając się plecami do mnie. Nie wykręcała szmaty do wiadra, tylko bez przerwy żeglowała płynąc

mokłą ścieżką korytarza. Skręciłem w bok do labiryntu niskich sufitów i niespodzianych zakrętów prowadzących do sutereny. Pamiętam dziwne wrażenie, kiedy raptem w skorupie prowincjonalnej austriackiej architektury straciłem poczucie jakichkolwiek ograniczeń. Przede wszystkim chodziło o głębokie zaufanie do przestrzeni, w której poruszałem się z wiarą, że idę za kimś, kogo ślady gubią się w tekście mojej roli. Mogłem każdy zakręt schodów ozdobić cytatem z tekstu. Dopiero kiedy w piwnicy znalazłem wreszcie toaletę, zrozumiałem, że słowo spełniło się:

„Szkola ta był to wielki budynek przerobiony z Sali teatralnej, stary i pełen przybudówek. ... Liczne boczne ubikacje nadawały się doskonale do zabawy w chowanek”(s. 321).
Stojąc przed otwartymi muszlami kibla, nie zdawałem sobie sprawy, że spektakl mój już się zaczął. Kiedy powróciłem do przepełnionej publicznością sali, wystarczyło otworzyć usta, by uwolnił się tekst. Należało tylko trzymać się ścieżki, prowadzącej do epizodu wystawy optyka na rynku, do okularów których każdą parę rozpoznawałem po zapachu. Okularów, które zmieniały się w słowie i nowym sensem inspirowały obecnych. Epizod udzielenia Komunii, w którym szkiełko od okularów, podniesione do ust widza spadało z powrotem na talerz, jak nigdy dotąd minął w niebywałym porozumieniu ze salą. W zamgleniu urojonych pytań i w braku na nie odpowiedzi, zjednoczeni ciepłym poczuciem wspólnego bankructwa istot myślących podobnie, skończyliśmy spektakl. Nikt nie opuszczał sali, więc delikatnie, nie przeszkadzając, zacząłem pakować rekwizyty. Ihor poprosił, by wstąpić do dyrektora szkoły na lampkę wina, ponieważ godzina jest późna, a pan dyrektor się spieszy. Jak się okazało, był to koniak. Choć głodni, trzymaliśmy fason i pilnując dobrego tonu skończyliśmy butelkę w ramach Seminarium „Do kogo należy Bruno Schulz?”. Było to 15 października 2001 roku. Pytano mnie potem czasami, czy było to pierwsze publiczne czytanie Schulza w Drohobyczu? Któż to liczył? Czas było zamykać szkołę. Ihor pomógł mi wynieść rekwizyty na wewnętrzne podwórko i poszedł szukać samochodu, który miał odtransportować manele i mnie do Lwowa. Dyrektor pożegnał się, a ja, stojąc pośrodku pustego podwórka, uświadomiłem sobie, że nie wspomniałem ani razu o spizarce. Koniec dnia w zmierzchu galicyjskiej prowincji obnażał istotę sytuacji. Wracalem myślami do

zapomnianej spizarki, do ścian prawdziwego płaczu z pogryzionym tynkiem i fatalną obojętnością wokół. Zaczynało robić się zimno. Stojąc obok Singera wpatrywałem się w głąb podwórza. Ihora wciąż nie było. Zmierzch opuszczał miasto, zamieniając się w “smutek pustkowi gwiazdnych” (s. 145). Drohobyckie gwiazdozbiory są o wiele bliższe od znanych mi dotąd. Były tak blisko, że ujawniały - zazwyczaj ukryty - brak idealnej doskonałości, każdy uszczerbek można było sportretować. Od tamtego czasu unikałem pięknych krajobrazów. W zbliżeniu zawsze niosą ze sobą rozczarowanie. Ihora nie było. Starłem się nie patrzeć na zegar, by nie stracić więzi z przestrzenią. Obok mnie mały szczurek precyzyjnie badał każdy centymetr rekwizytu, oglądając asfalt przez okulary. Odrzutowce nietoperzy fruwały tak nisko, że czułem się w ich gronie swojsko. Wreszcie w głębi zauważyłem zbliżającą się postać, lecz nie Ihora. Niepewna postawa mężczyzny pozwała przypuszczać że gdzieś za rogiem, obok jakiegoś szynku, porzucił swoją dorożkę. Zbliżał się do mnie z uśmiechniętą pewnością i kiedy stał już obok, zobaczyłem, że “Miał twarz drobną, czerwoną i dobroduszną” (s. 71). Patrzył na mnie milcząc, widać było, że czeka na moje usprawiedliwienie, odczuwałem że ma do tego prawo. Przywitałem się. On wciąż patrzył z uśmiechem. Wskazałem mu na rekwizyt:

- Czekam na samochód. Grałem tu spektakl.

Wtedy uśmiechnął się szerzej, pilnując mego spojrzenia:

- A jeśli nie przyjedzie?

Nie byłem przygotowany na takie pytanie. Nie zakładałem takiej opcji. Zdobyłem się więc na kolejną dawkę uśmiechu, mówiąc:

- Chyba nie, to niemożliwe ... Przyjedzie... – W ciszy, jaka zapadła, raptem zrozumiałem, że nie mam żadnych argumentów dla podobnej pewności. Gość, widocznie dozorca nocny na pół etatu, przestał uśmiechać się i patrząc mi w oczy znów zapytał;

- A jeśli nie przyjedzie?

Odpowiedziałem więc tym razem twardo, z trudem ukrywając niepewność:

- Przyjedzie!!!

Mój stróż spoważniał i ogłosił werdykt już bez wahań:

- Jeżeli nie przyjedzie, będziesz spać u mnie, tutaj. A jutro rano, około piątej, pójdziemy po grzyby. Wiesz jakie tu są teraz grzyby? Oooooo!!!

Pogodziłem się wewnętrznie z tym wyrokiem, ale zanim zacząłem przenosić rekwizyty, usłyszałem szum samochodu i przestrzeń przecięły ostre światła. Był to Ihor, z płonącym wiecznym papierosem. Po stróżu nie było śladu. Kiedy jechaliśmy śpiącymi ulicami, nie wiedziałem, jak i wszyscy, że za kilka lat zabraknie Ihora. W tej chwili był obok, siedział skruszony, z oszczędnych dawek zdań zrozumiałem, że oddał ostatnią kasę, by zawieźć mnie do Lwowa. Pomyślałem o Wirze czekającej w domu z małym dzieckiem. Czy spodziewała się wtedy, że wkrótce podejmie opiekę nad bezdomnym fragmentem historii miasta i poprowadzi raz do roku nocnymi ulicami, uzbrojoną w pochodnię kawalkadę nowych wiernych w ramach Festiwalu Brunona Schulza? Za oknem samochodu widać było placyk z pomnikiem. Przypatrzyłem się monumentowi uważnie. Stał wciąż z rękoma na piersi i napisem w dole: „Stepan Bandera”. Po kilku następnych zaułkach, po prawej stronie zobaczyłem willę Landaua. Była pusta jak dzwon. Teraz, po latach, wiemy że sytuację skandaliczną, tak czy siak unormowano za pomocą podpisania umowy o przekazaniu wyróżnionych części Schulza do depozytu dla Ziemi Obiecanej. A pozostałą resztę fragmentów przewieziono do miejscowego Muzeum Krajoznawczego. W taki sposób spełniło się ostatnie proroctwo Księgi: „Matka kazała odstawić półmisek do salonu. Tam leżał na stole pokrytym kapą pluszową, obok albumu z fotografiami ...” (s. 333).